

Informator Krajoznawczy

Nr 9/37(wrzesień) 2012



Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze
Oddział „Sudety Zachodnie” Jelenia Góra
Komisja Krajoznawcza

Wprowadzenie



Tak się złożyło, że we wrześniu 2012 roku więcej przebywaliśmy na wycieczkach zagranicznych niż u siebie. Odwiedziliśmy Frydlant, Hejnice, Liberec, Bozkov. Wdrapaliśmy się na Ořešník, wjechaliśmy na Ještěd, zwiedziliśmy piękne jaskinie. Poznaliśmy tyle ciekawych miejsc u naszych sąsiadów, że długo będziemy o nich opowiadać. To wszystko na ziemi czeskiej. Natomiast w Niemczech dotarliśmy do Budziszyna. U nas, w Polsce, wybraliśmy się tylko na jedną wycieczkę, podczas której zdobyliśmy Skopiec. Aby zrekompensować sobie trudy podejść rozpaliliśmy, w specjalnie do tego celu przygotowanym miejscu, ognisko i urządziliśmy wspianą biesiadę turystyczną. Można zatem powiedzieć, że wrzesień okazał się dla nas miesiącem bardzo pracowitym.

Zapraszam do przeczytania relacji z tych wycieczek, tak by ci, którzy brali w nich udział, mogli przypomnieć sobie te wspaniałe chwile, a ci, którzy nie mogli w nich uczestniczyć, by nabrali chęci na kolejne wyprawy organizowane przez Oddział PTTK „Sudety Zachodnie”.

Krzysztof Tęcza

Spis treści:

Str. 1 Wprowadzenie

Str. 2 Wycieczka autokarowo-piesza Frýdlant – Hejnice – Ořešník

Str. 9 31. wycieczka Rajdu na Raty 2012 – na Skopiec

Str. 12 Pieszko do Budziszyna po Via Regia

Str. 15 33. wycieczka Rajdu na Raty 2012 – na Ještěd

Str. 19 Bozkovské jeskyně – wieża „U borovice” – Javorník

Wycieczka autokarowo-piesza Frýdlant - Hejnice - Ořešník

Na dzień 1 września 2012 roku Oddział PTTK "Sudety Zachodnie" w Jeleniej Górze zaplanował wycieczkę autokarowo - pieszą do Czech. Tym razem mieliśmy zwiedzić zamek we Frýdlancie, sanktuarium maryjne w Hejnicach oraz wejść na Ořešník. Chętnych było tak dużo, że już dawno zabrakło miejsc. Nic więc dziwnego, że nawet widoczne chmury nie mogły nas odwieść od ruszenia w trasę. Autobus był na tyle wygodny, że nawet nie poczuliśmy trudów podróży. Zwłaszcza iż kierowca okazał się nie tylko cierpliwy ale także bardzo uczynny.

Zaraz po dotarciu do Frýdlantu podeszliśmy do kasy zamkowej aby odebrać zamówione na godzinę dziesiątą bilety. Już tam zamek wydawał nam się być dużym obiektem. Jednak dopiero po zwiedzeniu poznaliśmy jego ogrom. Główną atrakcją zamku są zgromadzone tu oryginalne eksponaty. Zamek bowiem nigdy nie był opuszczony. Do końca II wojny światowej był własnością prywatną, a potem przejęło go państwo, które już w 1947 roku ponownie otworzyło w nim muzeum, funkcjonujące tu już od 1801 roku. Jest to najstarsze tego typu muzeum w środkowej Europie. Aby tu wejść trzeba jednak zapłacić aż 210 korun. Bilety ulgowe przysługują tylko młodzieży i studentom. Czesi niestety nie stosują zniżek dla emerytów. Dowiedzieliśmy się, iż zarówno w dniu dzisiejszym jak i jutro, w godzinach wieczornych ma odbywać się tu coś w rodzaju naszych nocy muzealnych. Z tą tylko różnicą, że u nas wstęp jest bezpłatny a tu nie. Uczestniczący w nocnym zwiedzaniu zostaną jednak poczęstowani ciastami.



Bazaltowe skały, na których wsparto mury zamku we Frýdlancie

Nie zrażeni tą wiadomością ruszamy na zamek. Oprowadza nas pan Marcin, który świetnie mówi po polsku. Wkrótce poznajemy historię budowy obiektu. Dowiadujemy się o poszczególnych fazach rozbudowy i kolejnych właścicielach zamku. Zresztą gołym okiem widać, że zamek musiał powstawać stopniowo. Kolejne jego skrzydła są w różnych stylach architektonicznych. Największe wrażenie wywiera na nas dekoracja sgraffitowa. Jest ona niezwykła, chociaż zważywszy na jej kolory: biały i czarny, nieco ponura. Podchodząc "drogą rycerską" dostrzegamy skały bazaltowe wyglądające jak poukładane jedna na drugiej. Nazywane są one "diabelskimi organami". Wchodzimy na mniejszy dziedziniec najstarszej części zamku. Jest tutaj pierwsza z trzech wież zwana Indicą mająca 49 metrów wysokości, 10 metrów średnicy i mury o grubości dochodzącej do 4 metrów. Umieszczono w niej dwie cele więzienne. Nie dowiedzieliśmy się czy komuś udało się stąd uciec ale sądząc po później zobaczonych solidnych drzwiach oraz potężnej trójkątnej kłódce i kilku zamkach, chyba nie.



Nasz przewodnik - Marcin

Zwiedzanie zaczynamy od komnaty z makietą zamku. Są tu także portrety właścicieli. Na początku był to ród Berka - Dub (lata 1255 - 1278). Jednak gdy stali się oni zbyt bogaci król Przemysław Ottokar II skonfiskował im zamek i sprzedał go Bibersteinom, którzy władali tu od 1278 do 1551 roku, a więc prawie trzy wieki. W latach 1558 - 1620 obiekt był własnością rodziny Redern. Gdy zginął Melchior rządy objęła jego żona Katarzyna, krążąca dzisiaj po zamku jako Czarna Dama. Mimo, iż rozwinęła przemysł, otworzyła wiele browarów to ze względu na bezwzględne rządy została ona tak znienawidzona przez mieszkańców, że po jej śmierci pochowano ją poza miastem w miejscu, które utrzymano w tajemnicy. Obawiano się bowiem, że może dojść do aktów zbezczeszczenia zwłok. Jednak zyski jakie przynosiła jej polityka pozwoliły na rozbudowę zamku.

Syn Katarzyny, Krzysztof po klęsce w bitwie pod Białą Górą, pozostawił czeski majątek uciekając za granicę do swoich dóbr zawidowskich. Dlatego zamek został skonfiskowany i stał się własnością Albrechta von Waldsteina, naczelnego dowódcy wojsk Habsburgów. Mimo, iż na zamku był on tylko dwanaście lat pozostawił po sobie pamiątki świadczące o jego emocjonalnym podejściu do niektórych spraw. Możemy zobaczyć wielki obraz przedstawiający konia, którego Waldstein pozyskał jako zdobycz wojenną, gdy w 1632 roku w bitwie pod Lützen zginął król szwedzki Gustaw Adolf, poprzedni właściciel zamku. Po śmierci koń został wypchany i zachował się do dnia dzisiejszego w całkiem niezłym stanie. Natomiast Waldstein, mimo iż na stałe zatrudniał astrologa, który przedstawiał mu jego przyszłość, nie przewidział, że gdy zamarzyła mu się korona, jego własny generał okaże się lojalnym poddanym cesarza i doniesie mu o knowaniach księcia. Książę został za to

pozbawiony życia. Zamek jako nagrodę ofiarował cesarz generałowi Maciejowi Gallasowi. I właśnie kolejna sala zwana rycerską poświęcona jest temu rodowi. Jest tu wiele obrazów przedstawicieli tego rodu. Przede wszystkim Johana Gallasa wicekróla Neapolu, który mimo iż po śmierci w 1719 roku został pochowany z dala od Frydlantu to jego serce złożono na wieczny spoczynek w pobliskich Hejnicach. Kolejny obraz przedstawia piękną żonę Johana, która znana była jako kobieta o talii osy. Poddawała się ona operacji podczas której wycięto jej dwa dolne żebra i dzięki temu zabiegowi osiągnęła obwód tali 38 cm. Niestety w późniejszym czasie przyczyniło się to do jej przedwczesnej śmierci.

W roku 1759 warownia przeszła na własność kolejnego rodu, którego przedstawiciele zobowiązali się do swojego nazwiska Clam dodać drugi człon Gallas. Było to spowodowane brakiem potomka i wygaśnięciem tej rodziny. Byli to ostatni prywatni właściciele zamku. Władali nim aż do końca wojny w 1945 roku. Wtedy zostali wysiedleni a zamek przejęło państwo.

Następna komnata to kancelaria generała Edwarda. Zgromadzono tu wiele ciekawych eksponatów. Jest to pierwsze z dotychczas oglądanych pomieszczeń o zdobnym kolorowym suficie. Dotychczasowe miały bardzo surowe, białe stropy. W sali obok zobaczymy wiele ubrań noszonych w XIX wieku przez służbę i urzędników. Z okien rozpościera się piękny widok. Jednak w dniu dzisiejszym naszą uwagę przykuwa stojąca w rzece wielka koparka, przy pomocy której rozbierany jest betonowy most. Po obejrzeniu różnych środków transportu jakie zachowały się do dnia dzisiejszego docieramy do małej jadalni zamkowej. Wśród wielu eksponatów wyróżnia się bardzo ciekawy, ni to zlew, ni to cynowa miska z jajowatym pojemnikiem na wodę zakończonym kranikiem. Oczywiście urządzenie to służyło do mycia rąk. Aby w czasie posiłku nie przeszkadzały żadne hałasy na ścianie zawieszono zegar wykonany w całości z drewna. Natomiast na podłodze rozłożono skórę niedźwiedzia, jednego z dwóch, które żyły w suchej fosie służącej jako zwierzyńiec.

Idąc do zbrojowni, w której na suficie umieszczono herby okolicznej szlachty, mijamy bardzo solidne drzwi, za którymi znajdowała się cela. Widoczna potężna trójkątna kłódka oraz kilka zamków raczej nie pozostawiały wątpliwości, że stąd nie da się uciec. W samej zbrojowni znajdują się hakownice, bojowe cepy, halabardy, piki ale także działa czy wiwatówki. Najważniejsze, że wszystkie te eksponaty to oryginały używane przez załogę zamkową. Ponieważ poszła plotka, że w kolejnej sali, w której znajdują się uprzęże dla koni będzie można przymierzyć się do nich, niektórzy zwolnili kroku nie chcąc być pierwszymi. Nikt jednak nie zgłosił się by sprawdzić czy taka uprzęż pasowała by na niego. A szkoda, bo prowadzący wyraził zgodę na taki eksperyment. Same zaś uprzęże były piękne. Chomontowe posrebrzane, a piersiowe pozłacane. Był tu także strój osoby przewożącej pocztę. Miała ona wielki kapelusz, do którego wkładała listy i zawieszała go na plecy tak jak plecak. Oprócz tego, by było mu ciepło wykonano dla niego specjalne wielkie buty, do których wkładał jako ocieplenie słomę. Wreszcie widzimy pomieszczenie robocze. Jest to kancelaria zamkowa. To tu przechowywano wszelkie dokumenty związane z zamkiem, z jego finansami czy notowano należności i ich spłaty. To tu tak naprawdę pracowano. Na ścianie wisi obraz z 1660 roku będący mapą przedstawiającą ziemie frydlańskie.

Po pokonaniu prawie stu stopni dochodzimy do kaplicy zamkowej. To właśnie tutaj przychodzili właściciele zamku by się pomodlić, korzystając ze specjalnego łącznika na pierwszym piętrze. Zasiadali oni na balkonie. Zwykli śmiertelnicy mieli swoje miejsca niżej. Ciekawostką tego miejsca jest fakt umieszczenia tu aż dwóch ołtarzy. Początkowo dziwiło to nas. Jednak wyjaśnienie okazało się bardzo proste. To nie przejaw pychy czy pokazania swojej ważności, ale wyrażenie szacunku dla poprzednika. Otóż gdy budowano kaplicę św. Anny wystawiono jeden ołtarz. Natomiast gdy zmienili się właściciele wystawiono drugi, zachowując pierwszy. Jeden bowiem jest ewangelicki a drugi katolicki. Wynikało to w fakt, iż kolejni właściciele byli innego wyznania.

Wchodząc do części mieszkalnej zbudowanej nieco później niż pierwotny zamek widać od razu podwójne okna. Jest to część gościnna i sypialna. Zanim jednak przyjrzymy się całości ciekawe jest, że mimo iż zeszliśmy schodami na dół to jesteśmy na poddaszu. Wynika to z faktu różnicy poziomów na jakich posadowiono kolejne obiekty. Wszak jesteśmy na wzgórzu. Na tej kondygnacji znajduje się sypialnia, pokój wypoczynkowy, buduar i sanitariaty. Wszystkie w jednej linii tak, że przebywający tu mieli swoje niezależne przejście. Natomiast służba korzystała z korytarza, na którym

widać drzwiczki do ustawionych w pokojach pieców. Nie było bowiem w tamtych czasach do pomyslenia żeby przeszkadzać podczas palenia w nich. Wszystkie przykre skutki tej czynności, takie jak hałas czy zapach pozostawały na zewnątrz pomieszczeń mieszkalnych. Najpiękniejszy jest tu salon kwiatowy. Oczywiście nazwa nie wzięła się od stojących tutaj na specjalnych stołach zwanych żardinierami żywych kwiatów ale od całego wystroju pomieszczenia. Zarówno tapety, zasłony a nawet ozdobne węże na suficie mają motyw roślinny. Jest tu bardzo kolorowo. To właśnie tutaj odbywały się wszelkie koncerty. To tu muzykowano.

Na niższej kondygnacji umieszczono skrzydło kawalerskie. Wchodzi się tam przez pomieszczenie w którym na ścianach zawieszono wielkie miedzioryty. Ten najładniejszy przedstawia panoramę Rzymu w XVIII wieku. Obok przygotowano niewielki pokój z mebelkami do różnych gier modnych w tamtych czasach. Ciekawostką, z tej strony zupełnie niewidoczną, jest fakt połączenia tego pokoiku bezpośrednio z sypialnią, tak by gdy dopadnie zmęczenie można było wymknąć się najkrótszą drogą prowadzącą do łóżka. Niestety zarezerwowane to było tylko dla osoby korzystającej z przyległej sypialni. Pozostali goście musieli korzystać z korytarzy. W pomieszczeniu obok znajduje się barokowy stół, który swoim kształtem wzbudza szczególne zainteresowanie. Normalnie jest on okrągły. I to zarówno blat jak i część podnóżkowa. Jednak widoczne zawiasy pozwalają obie części złożyć by z kręgu zrobić kwadrat. Wiadomo przecież, że przy okrągłym stole się nie kantuje. Tak samo panie mogły spokojnie korzystać z tego mebla bez ryzyka pozostania starymi pannami.



Barokowy okrągły stół z możliwością przerobienia go na kwadrat

Docieramy na piętro męskie. Nareszcie widzimy wspaniale zdobione i kolorowe sufity. Wszak wiadomo nie od dzisiaj, że to mężczyźni są bardziej wrażliwi na piękno. Przynajmniej tak było dawniej. Pokój sypialny wyposażony jest w boczne przejście dla służby. Jest tu wszystko czego trzeba by przemocować i odpocząć. Nawet biblioteka. I to jest to! A gdy już się nie śpi to można udać się do komnaty obok, zwanej błękitną, wyposażonej nawet w romansówkę czyli mebel służący do siedzenia w pozycji półleżącej dwu osób naprzeciwko siebie ale oddzielonych oparciem. Stąd przechodzi się do sali herbowej, w której na ścianach umieszczono herby kolejnych właścicieli zamku i okresy w jakich władali oni tą posiadłością. Były to kolejno rodziny: Berka - Dub (1255 - 1278), Biberstein (1278 - 1551), Redern (1558 - 1620), Waldstein (1622 - 1634), Gallas (1634 - 1759), Clam - Gallas (1759 - 1945). Dla wygody dobudowano tu wielką jadalnię oraz kredens gdzie podgrzewano posiłki. Znajdują

się tam także spiżarnia a nieco dalej kuchnia pałacowa. Umieszczono tu trzy piece, a z jednego z nich poprowadzono rury, którymi dostarczano na górę ciepłą wodę.

Ponieważ był to już koniec naszego spaceru po zamku prowadzący pan Marcin zaprosił nas do ponownego odwiedzenia tego miejsca sugerując zwiedzanie wieczorne. Ja dodam tylko, iż podczas naszej wędrowki skrzętnie liczyłem wszystkie schody jakie musieliśmy pokonać idąc zarówno do góry jak i na dół i wyszło mi ich aż 252. A nie są to oczywiście wszystkie jakie tu się znajdują. Jest ich kilkakrotnie więcej.



Uczestnicy wycieczki na dziedzińcu zamkowym

Gdy wreszcie wyszliśmy przed zamek okazało się, że zwiedzaliśmy go aż dwie i pół godziny. Zeszliśmy zatem do autokaru i ruszyliśmy w kierunku Hejnic. Jest to małe miasteczko, w którym znajduje się wyjątkowa świątynia. Powstała ona, jak głosi legenda, w 1211 roku. Gdy w tak odległych czasach wędrował tutaj pewien biedny człowiek, nocując pod lipą ujrzał we śnie Matkę Boską. Ta powiedziała mu, że jeśli przyniesie tu figurkę i pomodli się to jego żona i dziecko zostaną uleczone. Tak też zrobił. Niestety nie stać go było na jakąś piękną rzeźbę dlatego za wszystkie pieniądze jakie miał kupił niewielką zakurzoną figurkę przedstawiającą Matkę Boską z Jezusem. Nie to jest jednak, jak wiemy, najważniejsze. Dlatego jego modły zostały wysłuchane. Gdy wiadomość o tym cudownym zdarzeniu rozeszła się po okolicy zaczęli tu przybywać inni, którzy mieli nadzieje na uzdrowienie. Tak też się działo. Wybudowano wtedy drewnianą kapliczkę, która po wielu przebudowach i rozbudowach, można powiedzieć że wygląda tak jak to dzisiaj widzimy. A widzimy tu potężny kościół o dwóch wieżach i kopule zwieńczonej latarnią. Zewnątrz ustawiono kopie figurki jednak o wiele większą od oryginału. Wiadomo stojąca wysoko rzeźba nie byłaby widoczna. Oryginał mierzący zaledwie 39 cm znajduje się w ołtarzu głównym. Jest to obecnie największy skarb bazyliki Nawiedzenia Najświętszej Panny Marii, znany jako cudowna figurka Matki Bożej Wspaniałej – Mater Formosa. Całe wnętrze świątyni jest pięknie zdobione. Wielkie wrażenie robi, zaraz po wejściu do świątyni, wspaniały ołtarz, który po podejściu do niego okazuje się namalowanym na ścianie. Trzeba przyznać, że uczynił to prawdziwy fachowiec. Z dala nie zauważa się tego. Ciekawostką jest wystająca z balustrady ambony ręka trzymająca w dłoni krzyż. Taka sama ręka wystawała ze ściany w korytarzu zamku we Frydlancie. Z tą tylko różnicą, że ta w kościele była koloru białego, a ta w zamku czarnego i w dłoni trzymała latarnię.

Gdy tak czekaliśmy by ruszyć w dalszą trasę z niepokojem patrzyliśmy na spowite w mgłach góry. To przecież tam mamy za chwilę się wspinać. Na szczytowej skałce widać krzyż. Mamy nadzieję,

że chmury zostaną rozwiane i nie zacznie padać. Byłoby nieciekawie. Ruszamy zatem do cukierenki. Może coś smacznego poprawi nam humory. Po chwili zastanowienia wybieramy jednak lody. Okazało



Sanktuarium w Hejnicach

się to strzałem w dziesiątkę. Były pyszne. Niby, tak jak u nas, gałkowe a jednak. Niezmrożone, w miarę ciepłe. No po prostu niebo w gębie. Palce lizać. Ale już machają nam byśmy wsiadali do autobusu. Wracają ostatni maruderzy, którzy wybrali się na zakupy do pobliskiego sklepu. Dzięki własnemu środkowi lokomocji mamy okazję podjechać aż pod sam las. Zaoszczędzamy około dwóch kilometrów. To sporo. Przekonaliśmy się o tym już za chwilę. Droga pnie się coraz bardziej pod górę.



Widok na Hejnice z Ořešnika

A i jej nawierzchnia zmienia się w coraz bardziej skalistą. Po chwili jesteśmy mokrzy. Pewnie już tak będzie. Gdy docieramy do mostku bardziej niecierpliwci udają się nieznakowanym szlakiem w kierunku wodospadu Velkého Štolpichu. My, bardziej ciekawi, idziemy przez mostek by po chwili wypatrzeć potężną kamienną barierę, na której widać wyrytą datę 1891. Jest to pozostałość zbudowanej tu Štolpiškiej silnicy nazywanej przesadnie Autostradą Alpejską. Niestety po powodzi w 1958 roku nie naprawiono jej jak należy i od ponad pół wieku przyroda stara się ponownie zagarnąć te tereny dla siebie. Mimo to wciąż widać jak solidna była to budowla. Nieco wyżej na skale znajduje się zupełnie nowa tablica pamiątkowa. Zastąpiono nią stara, która zniknęła. Ciekawym jest fakt poświęcenia jej cesarzowej Elżbiecie. Mimo iż cały czas słyszymy szum spadającej wody to teraz nasila się on bardzo wyraźnie. To oznaka, że docieramy do wodospadu. Gdy dochodzimy do mostku widać nad nim jak woda spada kilkudziesięciometrowymi kaskadami. My także musimy zejść na dół. Okazuje się to bardzo niebezpieczne. Skąły są tu omszałe i śliskie. Wąska ścieżka nie ułatwia tego. Na dodatek widać resztki po uciętych słupkach od barierek. Musimy sobie jakoś radzić. Ale wkrótce jesteśmy u celu i spotyka nas nagroda. Widok w górę na spadającą wodę to rewelacja. Czekamy aż wszyscy do nas dotrą. Niestety okazuje się, że brakuje sporej grupki osób. To ci co poszli na skróty. Nie czekali na nas. Trudno, ruszamy sami. Znowu pod górę. Nagle niespodzianka. Na dużym prostym głazie ułożone całe stosy małych kamyczków. Nie wiadomo o co chodzi. Snujemy różne domysły. Ale chyba nikt nie jest pewien tego o



Zdobywcy Ořešnika

czym mówi. Gdy docieramy do przełęczy przy Ořešniku część osób schodzi na dół, część siada na faweczce. Tylko kilkoro z nas rusza na szczyt. Fakt, prowadzący wycieczkę Wiktor Gumprecht mówił nam, że wejście jest strome i bardzo niebezpieczne. Jednak to co ujrzeliśmy przerosło nasze oczekiwania. Dobrze że nie padał deszcz bo chyba dali byśmy sobie spokój z dalszą drogą. Powoli trzymając się barierek i korzystając z wyrąbanych w skale stopni docieramy na sam szczyt. Stoi tam drewniany krzyż. Bez zbędnych ozdób. Znajdują się na nim tylko tabliczki z informacjami o renowacji. Krzyż został tu postawiony w 1819 roku jako upamiętnienie dwóch franciszkanów którzy spadli w przepaść. Były także inne ofiary. Jednak widok jaki rozpościera się stąd warty był naszego trudu. Dopiero stąd widać jak wielkie jest sanktuarium Matki Bożej Hejnickiej. Robimy pamiątkowe zdjęcia. Dużo pamiątkowych zdjęć. Bardzo dużo. Trzeba przecież nagrodzić się za wysiłek jaki włożyliśmy w dotarcie do tego miejsca. Cała dzisiejsza wycieczka jest bardzo trudna i wymagająca. Myślę oczywiście o trasie, nie o uczestnikach. Gdy nasyciliśmy swoje oczy tymi wspaniałymi widokami ruszamy na dół. Najpierw schodząc bardzo ostrożnie ze skał, później stromą ścieżką w dół staramy się nie rozpędzać tak by nie połamać sobie nóg. Wkrótce docieramy do Hejnic gdzie spotykamy pozostałe osoby. Wszyscy robimy drobne zakupy i ruszamy w drogę powrotną do domu. Ale najpierw zajezzdzamy do postawionej w 1931 roku wielkiej, bo mieszczącej około miliona litrów beczki przerobionej na restaurację. Jesteśmy w Wielkiej Beczce (Obři sud). Ponieważ czujemy lekki głodek a

nie ma w pobliżu Danonka chcemy zamówić coś konkretnego. Niestety pani kelnerka zamiast przyjąć zamówienie woła, że jest nas za dużo, że nie ma czasu i odchodzi. Jesteśmy delikatnie mówiąc rozczarowani. Dziwna sytuacja. Chyba przeszkodziliśmy pani w jakiś planach. Może chciała wcześniej pójść do domu. Gdy po pewnym czasie wracam na salę widzę, że pani jednak przyjmuje zamówienia. Nie wiem co zmieniło jej nastawienie. Może rozmowa z szefem. Składam zamówienie i po chwili wszyscy jemy smaczne kotleciki. Nie powiem obiad był bardzo smaczny. I gdyby nie pierwsze wrażenie byłoby całkiem przyjemnie. Niestety nie wszyscy posłuchali rady by nie dawać żadnych napiwków. Uważam że tym razem danie napiwku jest niewychowawcze. Trudno.



Wielka beczka

Gdy się najedliśmy i skosztowaliśmy miejscowego piwa wracamy w stronę Jeleniej Góry, gdzie czeka nas jeszcze jedna niespodzianka. Tym razem miła. Pan kierowca zaczął zachowywać się jak taksówkarz. Podwoził wszystkich gdzie sobie zyczyli.

31. wycieczka Rajdu na Raty 2012 - na Skopiec

Dnia 9 września 2012 roku wyruszyliśmy na kolejną wycieczkę tegorocznego Rajdu na Raty. Miała ona być zupełnie nietypowa. Wcześniej, prowadzący trasę (piszący te słowa) powiadomił, że planuje zorganizować ognisko i poprosił by wszyscy zaopatrzyli się w stosowny prowiant. Dawno bowiem nie było trasy, na której turyści mogliby wypocząć i spokojnie porozmawiać. Ze względów komunikacyjnych trasa została zaplanowana z Janowic Wielkich, do których dotarliśmy porannym pociągiem. Istniała co prawda obawa, że pogoda może spłatać nam fikusa. Dzień wcześniej lało niemiłosiernie. Jak na razie nic nie wskazuje, że będzie znowu padać. W Janowicach chcieliśmy uzupełnić nasze zapasy jednak nie przewidziałem, że w niedzielę sklepy będą otwarte nieco później. Dlatego nie czekając na ich otwarcie ruszyliśmy spokojnie w trasę. Obejrzelśmy po drodze zespół pałacowy z XVII wieku i dwa kościoły. Jeden gotycki Wniebowzięcia NMP, drugi poewangelicki Chrystusa Króla. Ten pierwszy interesował nas z powodu zamontowania na szczycie dachu krzyża pokutnego, a ten drugi głównie dlatego, że był otwarty. Dało to możliwość odmówienia krótkiej modlitwy tym osobom, które czuły taką potrzebę. I tak nie można było zbyt długo w nim przebywać gdyż mieszkańcy już się modlili w oczekiwaniu na mającą rozpocząć się mszę świętą.

Ruszamy zatem dalej, początkowo leśną ścieżką, później drepcząc po asfalcie. Dzisiaj niestety nie da się uniknąć ominięcia odcinków pokrytych taką nawierzchnią. Muszę przyznać, że na razie wszystkim dopisuje humor i nie widać po uczestnikach oznak zmęczenia. To się jednak niebawem miało zmienić. Przy ośrodku rehabilitacyjnym skręcamy w las i podążamy, początkowo przyjemną ścieżką, aż do miejsca w którym zmienia się ona w wydeptaną wąską dróżkę prowadzącą stromo pod górę. Teraz zaczynają się, jak to mówią, schody. Trasa jest tak stroma, że buty ześlizgują się ze zbocza. Trudno jest utrzymać jednakowe tempo marszu. Mimo, że odpoczęliśmy nieco przed wyruszeniem, na Różankę, jeden z dwóch szczytów Gór Ołowianych wchodzimy mocno podzieleni. Zanim dotrze tam ostatni turysta pierwszy nie tylko zdąży odpocząć ale będzie się już niecierpliwił, że prowadzący jeszcze nie pozwala mu iść do przodu. Trzeba jednak dać szansę tym ostatnim by złapali trochę oddechu. Może gdyby istniejące tu kiedyś schronisko dalej funkcjonowało było by przyjemniej. Jednak dzisiaj nie tylko, że nie ma po nim śladu, to jeszcze drzewa tak urosły, iż całkowicie zastoniły jeden z najładniejszych widoków w tej części gór.

Na pierwszy prawdziwy odpoczynek wybieramy specjalnie do tego celu przygotowane miejsce na granicy lasu. Nadleśnictwo ustawiło tu nowe zadaszone stoły i ławeczki. Jest nawet miejsce na ognisko. Nie skusiło to nas jednak do zmiany naszych planów. Kilka osób stwierdziło, że odłączy się by zrobić zakupy w sklepie w Radomierzu. My co prawda początkowo mieliśmy przechodzić koło tego sklepiku ale gdy na zapytanie telefoniczne odpowiedziano, że nie zostanie nam udostępniona nowa wieża widokowa, zrezygnowaliśmy z dojścia tam. Szkoda było niepotrzebnie nakładać drogi. Dlatego trzej śmiałkowie zebrali od reszty zamówienia i wyruszyli w stronę sklepu. My ruszyliśmy dalej tak by znaleźć się przy szosie prowadzącej z Jeleniej Góry do Wrocławia. Bezpieczne przejście przez nią wcale nie jest takie łatwe. Wynika to może nie tyle z ilości jeżdżących tędy samochodów co z szybkości z jaką kierujący nimi pędzą. Po dłuższej chwili udało nam się przedostać na drugą stronę i tu zaczęła się zabawa. Początkowo to co tu zastaliśmy bawiło nas ale po jakimś czasie denerwowało. Chodzi o oznakowanie tego odcinka. Ktoś pomalował nowy szlak, jednak czy z lenistwa, czy z oszczędności wymazał tylko pierwsze znaki starego szlaku, który prowadził zupełnie inną drogą. Poza tym nawet nie spróbował w jakikolwiek sposób oznaczyć skrętów, a ponieważ trasa przebiega polami, zwykły turysta co chwilę będzie się gubił. Jestem pewny, że ktoś kto nigdy tędy nie szedł nie ma najmniejszej szansy przejść tą trasę prawidłowo. Dla jasności podam, że chodzi o szlak koloru niebieskiego od Radomierza w stronę Skopca. Ponieważ ja akurat znam oba szlaki bez problemu przeprowadziłem wszystkich, jednak w ramach eksperymentu puszczałem bardziej uważnych turystów do przodu by sprawdzić czy znajdą szlak. Niestety ani razu nie trafili. Dlatego myślę, że ktoś powinien zająć się poprawieniem oznakowania szlaku niebieskiego na tym odcinku.

Tym razem, chcąc oszczędzić wszystkim trudu przy wspinaniu się na Dudziarza, wybrałem starą trasę i obeszliliśmy szczyt dookoła. Tam znaleźliśmy miejsce, w którym nagle krzyżują się aż trzy drogi oznaczone kolorem niebieskim.

Gdy dotarliśmy do nasłonecznionej polany zauważyliśmy jakieś duże białe plamy wśród trawy. Okazały się nimi olbrzymie kanie. Oczywiście zabraliśmy je ze sobą. Nie wiem tylko czy w domu znajdzie się tak duża patelnia. Na razie docieramy do przełęczki pomiędzy Barańcem a Skopcem i ruszamy za ułożonymi kamiennymi strzałkami na najwyższy szczyt Gór Kaczawskich by tam zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Schodząc na dół poczuliśmy zapach dymu. To zapewne ci, którzy nie mogąc być z nami przybyli od razu do szałasu Koła Łowieckiego "Darz Bór" by rozpalić ognisko. Miło było wiedzieć, że już czekają na nas. Wkrótce spotkaliśmy się z nimi. Od razu mogliśmy rozpakować nasze zapasy i po ustawieniu stołów częstować się wzajemnie przyniesionymi smakołykami. Rozpaliliśmy także ogień pod grillem, na którym zaraz zaczęły skwierczeć ułożone kiełbaski. Niektórzy wykazali się zdolnościami kulinarnymi i mogliśmy skosztować siedlecińskiej kaszanki w owocach. Coś pysznego. Ponieważ ci co wyruszyli po zaopatrzenie nie dotarli jeszcze wykorzystaliśmy kolegę przybyłego tu samochodem i pojechaliśmy na zakupy. Dzięki temu mogliśmy spokojnie kontynuować biesiadę. Wkrótce przybyły nasze zguby i już nie było obawy, że nam czegoś zabraknie. Po chwili niektórzy zaczęli nieśmiało coś nucić i podśpiewywać. Zabawa rozkręcała się na całego. Mogliśmy spokojnie porozmawiać sobie o tym co nas interesowało.



Na Skopcu - najwyższym szczycie Gór Kaczawskich



Uczestnicy biesiady turystycznej

Niestety wszystko co dobre musi się kiedyś skończyć. Czas płynął nieubłaganie. Minęło już ponad trzy godziny jak zasiedliśmy do stołów. Ponieważ od czasu gdy wody z ulewy zerwały pobliskie

mosty wycofano niektóre połączenia autobusowe musieliśmy dotrzeć pieszo aż do Maciejowej. Obejrzeliliśmy jeszcze oba kościoły w Komarnie oraz dwa krzyże pokutne. Po drodze zobaczyliśmy jak nowiutki asfalt jest już porywany przez płynącą po każdej ulewie wodę. Wszystko przez to, że nie wykonano odpowiednich odwodnień wzdłuż drogi. Niestety taką to dzisiaj mamy jakość prac. A że woda da sobie radę ze wszystkim przekonaliśmy się oglądając miejsce gdzie został zerwany most.

Nie zrażeni jednak tymi wszystkimi niedogodnościami podziwialiśmy potężny mur otaczający kościół św. Piotra i Pawła w Maciejowej i po zjedzeniu lodów zakupionych w nowo postawionej Biedronce usiedliśmy na przystanku w oczekiwaniu na mający nadjechać autobus. Już czuliśmy się jak w domu.

Pieszko do Budziszyna po Via Regia

Od setek lat ludzie pielgrzymują do miejsc świętych. W wyniku tego powstało kilka dróg, po których poruszają się oni w mniejszych czy większych grupkach. Z reguły dzienne przejścia oscylują w granicach trzydziestu kilometrów. Większy dystans byłby już zbyt wyczerpujący a tym samym niebezpieczny. Jest wiele dróg prowadzących do celu, a jedną z nich jest właśnie Via Regia. Ponieważ nie każdy ma możliwość odbyć tak długą pielgrzymkę Stowarzyszenie Południowo-Zachodnie Forum Samorządu Terytorialnego "Pogranicze" i Christlig-Soziales Bildungswerk Sachsen przygotowały wspólny projekt pod nazwą "Via Regia: poznać Europę - od historii do przyszłości". Projekt ten ma ułatwić wędrowkę zarówno mieszkańcom Dolnego Śląska jak i Saksonii. W jego ramach uczestnicy pielgrzymki mają zapewniony darmowy dowóz autobusem na miejsce startu i mety poszczególnych odcinków, na jakie podzielono całą szlak. Przemarsze odbywają się raz na tydzień i w ten sposób, można powiedzieć na raty, wszyscy chętni przejdą całą trasę, poczynawszy od Złotorii aż do Königsbrück. Tym razem, czyli 22 września 2012 roku, chętni wyruszyli z miejscowości Melaune.



Weissenberg, fontanna z drzewkiem przedstawiającym herb miasta

Grupa liczyła dwadzieścia osób a prowadzącym był Emil Mendyk. Ponieważ pogoda była nienajlepsza nie można było ruszyć w sandałach tak jak czyniono to dawniej. Trzeba było założyć „prawdziwe” buty przewidziane do takich wędrowek. Ruszamy zatem w stronę widocznych w oddali wiatraków. Po zjednoczeniu Niemiec na okolicznych polach planowano budowę składowiska odpadów radioaktywnych. Praktycznie oznaczało to śmierć całego życia na przeznaczonej pod to

ziemi. Mieszkańcy nie godząc się na to rozpoczęli walkę. I udało im się. Składowisko nie powstało. Na pamiątkę zwycięstwa ustawiono tutaj w 1994 roku drewniany krzyż z metalową tabliczką, na której umieszczono stosowny napis. Dowiadujemy się z niego, że na 40. hektarach miało tu wyginąć życie przyrodnicze ponieważ prowadzimy nieprzyjazny sposób życia.

Uradowani, że udało się ocalić od zagłady tą piękną okolicą docieramy do miejscowości Buchholtz, gdzie nad stawami założonymi przez Krzysztofa von Gersdorfa próbujemy sfotografować wodujące kaczki. Nieco dalej widzimy ciekawe drzewo o dużych szyszkowatych kwiatach koloru różowego. Nikt nie wie co to jest.

Ale oto docieramy do miejscowości Weissenberg. Przechodzimy koło zadbanego cmentarza żołnierzy radzieckich i już jesteśmy na Rynku z ratuszem o wysokiej okrągłej wieży. Obok w niewielkiej fontannie umieszczono żeliwny odlew zielonego drzewa będącego herbem tej miejscowości. Ponoć Biała Góra to miejsce starć dwóch bogów: białego i czarnego czyli walki dobra ze złem.

Posiliwszy się nieco zapragnęliśmy spróbować, ponoć smacznych, pierników jakie są tu wytwarzane. Niestety nie dane nam było tym razem poznać ich smaku gdyż sklep i zarazem muzeum w sobotę jest czynny dopiero od godziny trzynastej. Na osłodę zostaliśmy poczęstowani przez prowadzącego czekoladą. Obejrzelśmy aktualnie remontowany stary dom przysłupowy oraz widoczny za murem kościoł. Akurat był otwarty. Kościoły ewangeliczne mają bardzo surowy wystrój. Brak w nich ozdób i przepychu jak w kościołach katolickich. Przy murze cmentarnym widzimy mogiłę, w której pochowano siedemnastoletniego chłopca rozstrzelanego pod koniec wojny za dezercję. Nasuwa się tu pytanie: bohater to czy zdrajca? Zapewne my będziemy odmiennego zdania niż jego rodacy. Do tej pory wydawało nam się, że właściwie idziemy po równym terenie. Teraz idąc dalej musieliśmy pokonać prawie sto stopni. A więc jednak jest to, tak jak sugeruje nazwa, góra.

Wkrótce docieramy do leśnego wąwozu. Ale zanim to nastąpi mijamy wiadukt będący pozostałością po jeżdżącej tędy kolejce. Spotykamy też po drodze nastolatkę na pięknym rumaku. Po przekroczeniu drewnianego mostku nad rzeką Lobau idziemy wąską ścieżką uważając by nie ześlizgnąć się do wody. Jednak zieleń, szum wody i, przede wszystkim, nastrój jaki nam się udzielił zachęca nas do marszu naprzód, przed siebie. Nie zrażają nas nawet powalone wielkie drzewa, które bardzo utrudniają naszą wędrówkę. Niektórych, ze względu na strome zbocze, po którym idziemy, musimy ominąć. Wydłuża nam to trochę drogę ale mimo wszystkich trudności docieramy do miejscowości Gröditz. Widzimy tu pałac przykryty mansardowym dachem. Niestety jest on zamknięty. Gdy już mieliśmy iść dalej podeszła do nas pani i zaproponowała, że oprowadzi nas po nim. Nicol, bo tak miała ona na imię, opiekuje się tym zabytkiem w imieniu obecnego właściciela, którym jest Berthart Zenker. Jego rodzina mieszkała tutaj aż do 1945 roku. Jakiś czas temu stworzono im możliwość odkupienia swoich posiadłości. To tak jak u nas. Teraz, w miarę swoich możliwości, prowadzi on prace remontowe. Pomagają mu w tym mieszkańcy i wolontariusze. Na szczęście widać już efekty tych prac. Na aukcjach internetowych kupowane są meble pasujące do wnętrz pałacowych. Niektóre są prezentami od osób zaprzyjaźnionych. Aby sprostać wyzwaniom założono Stowarzyszenie Pro Gröditz eV. Posunięcie takie szybciej przybliży końcowy efekt podjętych prac, którym jest przywrócenie dawnej świetności obiektu.

Muszę powiedzieć, że to co wykonano na dzień dzisiejszy wygląda bardzo zachęcająco. Pozwolono nam obejrzeć parter pałacu. Pokoje zostały odnowione i wyposażone w stare meble. Niektóre z nich wprawiły nas w zachwyt. Zauważyliśmy także „tajne” przejścia ukryte w ścianach. W oknach zawieszono ciekawe witraże, na ścianach widzimy wiele pamiątkowych portretów i ładnych obrazów. Są tu też wspaniałe piece kaflowe. Oczarowani tym wszystkim, bez wahania sięgnęliśmy do kieszeń by wrzucić po symbolicznym euro do skarbonki, a Emil dokonał stosownego wpisu do księgi pamiątkowej.



Pałac w Gröditz

Gdy wyszliśmy przed pałac okazało się, iż właśnie przybył Dietmar. Zaprosił nas on do schroniska dla pielgrzymów Santa Martha. Mogliśmy zobaczyć jak wygląda obiekt w środku. Jest tu kilkusobowy pokój, świetlica i kuchnia samoobsługowa. Koszt noclegu to symboliczne „co łaska”, jednak najczęściej pielgrzymi zostawiają 5. euro. Dietmar zaproponował nam zajrzenie do kościoła, jednak najpierw zaprosił nas do stodoły na posiłek. Okazało się, iż koło kościoła mają oni stary budynek gospodarczy przystosowany do organizacji różnych imprez, nawet weselnych. To tutaj spotykają się grupki młodzieży oraz tutaj wydawane są posiłki. Zachęceni spróbowaliśmy gulaszu z chlebkiem i ciemnym piwkiem. Pyszne. Porcja jaką dostaliśmy w zupełności wystarczyła byśmy poczuli się najedzeni. Dlatego nie było problemu by ruszyć w dalszą drogę. Najpierw zajrzeliśmy do wspomnianego kościoła. Już przy wejściu zaskoczył nas napis umieszczony nad drzwiami. Był on jakiś „znajomy”. Okazało się, iż napisy są tu dwujęzyczne: po niemiecku i łużycku. W środku urzekł nas ołtarz z obrazem przedstawiającym scenę ukrzyżowania Jezusa a nad nim Wniebowzięcia. Po obu stronach widoczne okna zaopatrzone zostały w zachwycające witraże.

Nie tracąc więcej czasu pożegnaliśmy naszego gospodarza, który zaraził nas swoim optymizmem i radością bijącą od niego. Ruszyliśmy lipową aleją przez pola w stronę widocznego lasu. Jeszcze tak szybko nie szliśmy. Wiatr jaki zerwał się niósł w naszą stronę zacinający deszcz. Każdy starał się ukryć pod drzewami. Gdy jednak dotarliśmy w bezpieczne miejsce wiatr ustał a deszcz przestał padać. Znak wskazujący nam dalszą drogę, namalowany na pniu drzewa, z powodu pęknięcia kory wyglądał tak jakby kierował w dwie przeciwne strony. Nie daliśmy się jednak zwieść i poszliśmy we właściwym kierunku. W nagrodę spotkaliśmy ładne koniki, które dały się nam pogłaskać. Minęliśmy niewielki pałac otoczony fosą, nad którą przerzucono kamienny mostek i dotarliśmy do miejscowości Drehsa. Znajduje się tutaj wieża widokowa. Niestety nie udało nam się wejść na górę gdyż nie zastaliśmy osoby dysponującej kluczem. Każda jednak niedogodność może obrócić się na dobre. Dlatego gdy zdecydowaliśmy o przerwie na posiłek okazało się, iż drzewo pod którym stanęliśmy, to orzech włoski. Co chwile spadały z niego dojrzałe orzechy. Mieliśmy zatem smaczny deser. Jak się okazało podczas dalszej wędrówki takich drzew rosnących przy polnych drogach jest tutaj mnóstwo. I co ciekawe nikt nie zbiera ani orzechów, ani jabłek, ani gruszek. Owoce zalegają w trawie i na drogach, tworząc całe kolorowe dywany. Idąc spacerkiem takimi właśnie drogami powolutku zbliżaliśmy się do ostatniego punktu naszej dzisiejszej wędrówki. Był nim Budziszyn.



Budziszyn

Zaraz na początku miasta ujrzelśmy tablicę, na której umieszczono stosowne powitanie dla przybywających tu turystów. Teraz pozostało nam już tylko dotrzeć w umówione miejsce, w którym miał na nas oczekiwać autobus. Szkoda tylko, że nie zwiedzimy dzisiaj Budziszyna, wszak to przepiękne miasto. Organizatorzy przewidzieli zwiedzanie podczas kolejnego etapu naszej pielgrzymki, czyli za tydzień.

My wracamy do domów patrząc jak na niebie pojawia się świecący coraz mocniej duży srebrny księżyc.

33. wycieczka Rajdu na Raty 2012 - na Ještěd

Okazuje się, że połączenia kolejowe u naszych sąsiadów pozwalają, dzięki dobremu planowaniu, dotrzeć w miejsca dosyć odległe od Jeleniej Góry. Dlatego Wiktor Gumprecht planując kolejną wycieczkę wykorzystał tę ciekawą ofertę czeskich kolei i 23 września 2012 roku ruszyliśmy na wycieczkę do Liberca. Najpierw dotarliśmy do Szklarskiej Poręby Górnej gdzie mieliśmy przesiąść się na pociąg do Harrachova. Okazało się jednak, że w Jakuszycach czekał na nas autobus zastępczy. Ze względu na prowadzone na torach prace pociąg nie mógł przewozić pasażerów. Gdy zobaczyliśmy podstawiony autobus ogarnęły nas wątpliwości czy aby na pewno wszyscy się zmieścimy. Było nas bowiem prawie sześćdziesiąt osób. Na szczęście turyści z rowerami, którzy jechali z nami, wyruszyli na swoją wycieczkę właśnie w Jakuszycach. W autobusie był mały tłok ale jakoś dotarliśmy do Kořenova, gdzie czekał na nas kolejny pociąg. Właśnie wyszło słońko i robiło się coraz cieplej. Niektórzy by zabić czas szukają na mapie trasy, którą mamy iść. Niestety posiadane przez nich mapy nie ujmują właściwego terenu. W sumie nie ma to większego znaczenia ponieważ jest z nami Wiktor, który poprowadzi nas do celu.

Ale oto jesteśmy w Libercu. Przesiadamy się do tramwaju i linią nr 3 podjeżdżamy do dzielnicy Horní Hanychov, gdzie znajduje się dolna stacja wyciągu na Ještěd. Teraz krótki spacer na rozgrzewkę i już wsiadamy do wagoniku. Sama kolejka, zbudowana w latach 1932-33, pozwala nam bez wysiłku pokonać ponad 450 metrów różnicy wysokości tak by znaleźć się na wysokości 1012 metrów n.p.m. Wagoniki są bardzo „ciekawe”, powinno pomyśleć się jednak o ich wymianie. Drzwi zamykane na haczyk pilnuje pracownik obsługi. Jadąc na szczyt widzimy jak ci dzielniejsi wchodzą

pieszo bardzo stromą ścieżką. Patrząc na nich z góry raczej nie chcielibyśmy być na ich miejscu. Chociaż jest tu w zwyczaju, że ten kto wejdzie pieszo sto razy otrzyma w nagrodę kufel ze swoim imieniem, który będzie przechowywany na miejscu, tak by gdy jego właściciel ponownie tu się zjawi, mógł napić się piwa właśnie z niego. Aby jednak umęczony turysta miał jakąś pamiątkę, którą mógłby się pochwalić swoim znajomym, otrzyma także stosowny dyplom. Co ciekawe rekordowe wejścia na Ještěd są odnotowywane i dlatego wiemy, że w 1922 roku Rudolf Kauschka wszedł tutaj aż dwanaście razy w ciągu jednego dnia. Lilly Flassak tylko w 1933 roku weszła tu 709 razy. Natomiast bezwzględny rekord należy do Frieda Mandelika, który ogólnie wszedł na szczyt ponad 5000 razy. To dopiero wyczyn. Ale był też Adolf Trenkler, który w 1900 roku wszedł tu 2000 razy traktując to jako kurację odchudzającą. Wszyscy ci nie korzystający z wyciągu nazywani są setkowcami.

Co do samej góry to obecnie stoi na niej 93-metrowa wieża telewizyjna mieszcząca także hotel, restaurację oraz taras widokowy. Jej architekt, Karl Hubáček, tak ją zaprojektował, że gdy patrzymy na nią z pewnej odległości, to nie jesteśmy w stanie dostrzec gdzie kończy się góra a gdzie zaczyna wieża. Budowa trwała siedem lat i zakończyła się w 1973 roku. Za swój projekt został on wyróżniony prestiżową nagrodą Perreta przyznawaną przez Międzynarodową Unię Architektów. Wieżę uznano za budowlę stulecia.



Ještěd nad Libercem



Widok na Ještěd

Zanim wzniesiono obecny obiekt znajdował się tu hotel zaprojektowany przez Ernsta Schäfera. Zimą 1963 roku, gdy rozmrażano otwartym ogniem zamrożony wodociąg, zrobiono to tak skutecznie, że z hotelu właściwie nie pozostało śladu.

Dużą atrakcją umieszczoną na szczycie jest rzeźba znanego czeskiego artysty Jaroslava Róny nazwana Mały Marsjanin. Przedstawia ona marsjańskie dziecko, które zgubiwszy się siedzi i płacze. Co ciekawe to na sam szczyt można wjechać samochodem. Jest tu parking, a koszt takiego postoju to równe 80 koron. Oczywiście ilość miejsc jest ograniczona, trzeba zatem jadąc na górę patrzeć czy nie świeci się czerwone światło informujące, że w chwili obecnej nie ma wolnego miejsca.

Trzeba przyznać, że widoki z Ještědu są niesamowite. Możemy popatrzeć na leżący poniżej Liberec czy zobaczyć elektrownię i odkrywkę w Bogatyni. Ale jest tutaj także drewniany krzyż pochylony zębem czasu. I to właśnie patrząc spod niego mamy najpiękniejszy widok na miasto.

Aby nasze zadowolenie było pełne powinniśmy skosztować smacznej zupy gulaszowej, będącej specjalnością w tutejszym bufecie. Na pewno rozgrzeje nas ona i pozwoli nabrać ochoty na spacer do Liberca. Z góry najlepiej zejść szlakiem koloru czerwonego. Po drodze jest kilka miejsc, w których można spożyć posiłek, ale najciekawszym jest znajdująca się przy pętli tramwajowej stylowa restauracja o nazwie Čerti na Ještědu. Jej nazwa związana jest z legendą o trzech złych diabłach wygnanych ze szczytu.

My jednak podjechaliśmy tramwajem tak by dostać się na Rynek gdzie obejrzelśmy wspaniały ratusz. Jest to obiekt zbudowany, jak mówi umieszczona nad wejściem data, w roku 1892. Nie jest to jednak do końca prawda, gdyż oddanie obiektu do użytkowania miało miejsce na początku roku 1893. Budynek zaprojektowany przez architekta Franza Neumanna zdobył największe uznanie w ogłoszonym konkursie na budowę nowego ratusza. Naszą uwagę zwraca, umieszczona na szczycie 65-metrowej wieży, metalowa figura rycerza. Zapewne zaciekawi wszystkich fakt, że figura ta ustawiona tu w 1891 roku została zdjęta i zastąpiona „piękną” czerwoną gwiazdą. Miało to miejsce w 1952 roku. Następnie gwiazdę zamieniono na lwa by w końcu ponownie umieścić tu figurę rycerza przechowywaną w muzeum. Nad portalem wejściowym umieszczono relief autorstwa Theodora Friedla, jednak zasłaniająca go przed gołębiami siatka nie zachęca do szczegółowego studiowania umieszczonych tam rzeźb. Za to warto przestudiować te umieszczone z tyłu budynku. Lewy symbolizuje produkcje tekstylną w mieście, środkowy przedstawia składanie hołdu przez mieszczan miastu Liberec, na prawym zaś przedstawiono kontakty handlowe Liberca ze światem. Powyżej

umieszczono sześć dużych witraży wykonanych w warsztacie Karla Melzera symbolizujących: Naukę, Sztukę, Stan kupiecki, Przemysł, Handel i Administrację miejską.



Ratusz w Libercu

Wracając do portalu wejściowego zobaczymy balkon, z którego przemawiali cesarz Franciszek Józef I, prezydent Edvard Beneš czy Vaclav Havel. Na prawo od głównego wejścia umieszczono pomnik upamiętniający tych, którzy zginęli podczas inwazji wojsk Układu Warszawskiego w 1968 roku. Nazwiska dziewięciu zabitych wówczas osób umieszczono na gąsienicy czołgowej.

Dla równowagi obejrzelśmy „Szklany zamek” czyli pałac Redernów. Obiekt ten początkowo wyglądał nieco inaczej. Jednak przebudowywany w ciągu wieków, dotknięty pożarem w 1615 roku, obecnie cieszy oko swoim kształtem. Najciekawszą częścią zabudowań jest wybudowana z inicjatywy Katarzyny von Redern kaplica i skrzydło Nosticowskie zaprojektowane przez Jana Arkana z Žitawy.

Ciekawym dziełem jest przystanek autobusowy, który wykonał David Čerňý. Na stole, gdyż taki nadano mu kształt, umieszczono kufle do piwa, wazon z rośliną mięsożerną oraz spoczywającą na

talerzu głowę Konrada, jak powiedział w jednym z wywiadów autor. Widać tutaj wbite w nią widelec i nóż. Po wszystkim chodzą olbrzymie muchy w hełmach na głowie. Robi wrażenie.

Po takiej atrakcji nie pozostało nic innego jak poszukać restauracji i zjeść obiad. Zaraz wpadł nam w oko lokal o nazwie Plzeňka-Duli. Akurat w drzwiach pojawił się kelner. Zapytany czy mają coś smacznego do jedzenia zaprosił do środka. I zanim usiedliśmy już na stołach pojawiły się prawdziwe, ciężkie kufle ze znakomitym piwem. Po chwili podano nam pieczoną wieprzowinę w sosie oraz knedliki ze smażoną kapustą. Trzeba przyznać, że tego nam brakowało. Teraz najedzeni zaczęliśmy rozglądać się po lokalu. Na zawieszonych pod sufitem półkach podziwialiśmy dziesiątki starych wag, młynków do kawy oraz żelazek. Mnie zaintrygowała plansza wisząca naprzeciwko mojego stolika. Umieszczono na niej zdjęcia dziewięciu mężczyzn w różnym wieku oraz jakieś daty. Ponieważ nie byłem pewien co do moich podejrzeń zagadnąłem kelnera. Okazało się, że miałem rację. Panowie na zdjęciach to szefowie tego lokalu na przestrzeni stu lat. Ciekawe, że tylko obecny nie ma wąsów, wszyscy pozostali mieli.

W dobrych humorach opuszczamy naszą restaurację. Czynimy to jednak z żalem. Niestety pociąg nie będzie na nas czekał. Tym razem idziemy na dworzec pieszo by zobaczyć płynącą przez Liberec Nysę Łużycką.

Dla zainteresowanych podam, że cała dzisiejsza wycieczka, jeśli chodzi o sprawy komunikacyjne, czyli przejazdy pociągami, autobusami, tramwajem, a także wjazd kabinową kolejką linową na Ještěd kosztowały nas tylko po 15 złotych na osobę. Wszystko to dzięki wykupieniu biletów ZVON.

Bozkovské jeskyně - wieża "U borovice" - Javorník

29 września 2012 roku odbyła się wycieczka autokarowa XLII Rajdu na Raty z cyklu "Śladem wież widokowych". Tym razem zobaczyliśmy wieżę "U borovice". Oczywiście dotarcie tylko do tej jednej wieży byłoby zbyt małym wyzwaniem dla tak wytrawnych turystów, zwłaszcza że dołączyli do nas licznie przewodnicy sudeccy traktując naszą wyprawę jako imprezę szkoleniową. Wyruszyliśmy zatem z samego ranka, gdy tylko słońce wychyliło się z za chmur. W miarę gdy autokar pokonywał kolejne kilometry robiło się coraz cieplej. Pięliśmy się coraz wyżej. Po przekroczeniu dawnej granicy i minięciu Harrachova wjechaliśmy na wąskie górskie trakty, tak że każdy mijany przez nas samochód osobowy musiał uważać by nie porysować nam karoserii. Widoki były tak wspaniałe, że chyba nikt nie tracił czasu na drzemkę. Zwłaszcza, że patrząc w bok widziało się nad jakimi stromiznami przyszło nam przejeżdżać.

Ale oto docieramy do miejscowości Bozkov. Jest tu duży wygodny parking, na którym pozostawiamy nasz autokar, a sami idziemy w stronę jaskiń. Ponieważ droga prowadzi mocno w dół nikt nie pozostaje w tyle. Zwłaszcza, że mamy umówione wejścia od godziny 10.20. Piszę wejścia, ponieważ do jaskiń wpuszczane są grupy 17 - osobowe, a nas jest pięćdziesiątka.

Bozkovské jaskinie dolomitowe mają ponad 1000 metrów długości i są największym systemem jaskiniowym w północno-wschodnich Czechach. Jednak dla turystów udostępniona jest tylko jedna trzecia tej długości. Odkryte zupełnie przypadkowo w 1947 roku, poznawane przez lata, zostały w końcu udostępnione dla turystów i od 1968 roku są odwiedzane przez coraz większą liczbę gości. Wiele osób powraca tu zauroczonych tym miejscem. Wybierając się na zwiedzanie należy zabrać z sobą jakiś sweterek gdyż temperatura wewnątrz oscyluje koło 7 stopni. Nie jest tam zatem zbyt ciepło. A zwiedzanie trwa 45 minut. Za tą przyjemność zapłacimy jedyne 100. koron.

Wkrótce doczekaliśmy się pani przewodniczki, która wyposażona w magnetofon puszcza nam nagranie w języku polskim. Pamiętam, że gdy byłem tu ostatnio przewodnik nie korzystał z takich udogodnień. Widocznie zabrakło im obsługi ze znajomością naszej mowy. Wchodzimy do miejsca nazwanego Kaplica. Ponieważ została ona odkryta jako oddzielna część przebito tu chodnik łączący ją z następną częścią jaskini. Nazwy poszczególnych części nie są wcale wymyślne i można wytłumaczyć ich powstanie w bardzo prosty sposób. Na przykład Jaskinia Północy, odkryta w 1958 roku, została

zdobyta wejściem od północy. Proste, prawda? Kolejna część, nazwana Za Progiem, jest zbliżona najbliżej powierzchni. Jej strop ma w niektórych miejscach zaledwie 3. metry. Dochodzimy do Skrzyżowania. Jest to miejsce, do którego będziemy powracać jeszcze kilka razy, zataczając koła po poszczególnych częściach jaskini. Najpierw udajemy się chodnikiem Równoległym, później Pirackim i docieramy do Jaskiniowego Piekła, ukrytego zaledwie 22 metry pod powierzchnią ziemi. Dochodząc do Jeziora Rozbójników widzimy wreszcie prawdziwe stalaktyty (nacieki na stropie), stalagmity (nacieki narastające od dołu), oraz stalagnaty czyli obie wspomniane formy, które już połączyły się tworząc słupy. W jaskini wszędzie widać przedostającą się wodę. Dlatego dawniej chodnik, którym właśnie podążamy przykryty był grubą warstwą mułu. Aby oszczędzić zwiedzającym takiego dyskomfortu usunięto błoto i wylano betonowy chodniczek. Zachowano jednak nazwę Błotnisty chodnik. Aby było bardziej romantycznie widoczne nacieki nazwano Jaś i Małgosia. Tunel, którym idziemy to 50-metrowy odcinek wykonany przez człowieka w celu połączenia poszczególnych części jaskini. Dlatego tuż za nim mamy Starą Jaskinię. Spośród wielkiej ilości widocznych tu nacieków krystalicznych uwagę zwraca „pruski hełm”, przy którym leży zasłonka oderwana od stropu. Zdążyła ona już przyrosnąć do podłoża. W jaskini Niespodzianka widzimy kolejny ciekawy stalaktyt. Ponieważ przechylił się on znacznie od pionu, kapiąca z góry woda utworzyła na nim nowy, tym razem prosty i wygląda to jak palce u dłoni. Kolejny naciek wygląda jak biała prześwitująca myszka. Chodnik Listopadowy, jak sama nazwa wskazuje, został odkryty w listopadzie. Oglądamy nacieki w formie wodospadu oraz wyschniętego pod nim jeziorka i docieramy do pięknej formy nazwanej Uszy Słonia. Faktycznie podobne. Są one bardzo delikatne. Tuż obok możemy zobaczyć różnicę pomiędzy żywymi naciekami a martwymi. Spowodowane to jest brakiem dopływu wody. Stają się one wtedy matowe a po pewnym czasie ulegają korozji. Nie jest to zbyt ciekawy widok. W końcu docieramy do największego pomieszczenia nazwanego Katedra Jeziorna. Aby udostępnić to miejsce dla zwiedzających sztucznie obniżono poziom zalegającej tu wody o całe 5. metrów. Mimo to pozostałe jeziorko o długości 24. metry i szerokości 14. metrów wygląda przepięknie. Woda w nim ma kolor niebieskozielony i momentami gdybyśmy nie wiedzieli, to nawet nie wpadłoby nam do głowy, że stoimy nad jeziorem. Moglibyśmy stać tam wpatrując się w krystalicznie czystą wodę dłużej, jednak prowadząca skutecznie nas zmusiła, gasząc światło, do wyjścia. Szkoda.



Gdy wyszliśmy na powierzchnię słońko nieźle już przygrzewało. Ponieważ wszystko było jeszcze pozamykane ruszyliśmy w drogę powrotną. Z tą jednak różnicą, że zamiast na parking dotarliśmy do Kościoła Pielgrzymkowego Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny od ponad 100. lat Królowej Gór. Dzisiejsze sanktuarium jest oczywiście jednym z kolejnych obiektów jakie powstały na przestrzeni wieków. Najważniejszym jest tu kult jakim otacza się Matkę Bożą. Wszystko zaczęło się od snu jaki miała chora żona pewnego górnika. Rano opowiedziała ona mężowi, że gdy znajdzie on w kopalni figurkę Matki Bożej to ona ozdrowieje. Ponieważ górnik ten kochał swoją żonę uznał te słowa za ostatni dla niej ratunek. Wziął się więc do kopania i w końcu odnalazł upragnioną figurkę. Faktycznie żona ozdrowiała. Nie był to jednak jedyny cud jaki wydarzył się wówczas. Dlatego postanowiono wznieść tutaj świątynię, w której umieszczono ową figurkę. Gdy Husyci spalili kościół figurka przepadła. Jednak wydarzył się wówczas kolejny cud. Pewnej nocy zgromadzony w sąsiedniej miejscowości materiał na budowę kościoła zniknął i gdy go poszukiwano okazało się, że został on, nie wiadomo w jaki sposób, przemieszczony do Bozkova. Mało tego, mimo iż był to lipiec spadł śnieg, który utrzymując się przez cały dzień wyraźnie wskazywał miejsce usytuowania poprzedniej świątyni. Gdy zaczęto kopać w zaznaczonym miejscu odnaleziono ukrytą tam figurkę.

Następny cud wydarzył się gdy szalejąca zaraza przyczyniła się do śmierci 1/3 ludności zamieszkującej na tych terenach. W samym Bozkovie nikt nie ucierpiał. Ponieważ nie było na to żadnego racjonalnego wytłumaczenia przyjęto, iż jest to cud i wzniesiono nową świątynię, traktując ją jako największy na świecie słup morowy. Nie był to jednak koniec cudów. Pewnej nocy ludzie ujrzeni wychodzące z okien kościelnych złote promienie świetlne. Gdy weszli do kościoła okazało się, że promienie te wydobywają się z figurki. Zebrano wówczas stosowne fundusze i dorobiono złote promienie wokół Matki Bożej. Dzisiaj tak właśnie ją widzimy, w promiennym blasku. Co prawda w dzisiejszych czasach zarówno korona jak i szaty, w które ubrana była figurka znajdują się w muzeum utworzonym na pierwszym piętrze w pomieszczeniu Oratorium, jednak sama figurka pozostała ubrana w nowe szaty i przyozdobiona nową koroną. Chodziło o uratowanie jej przed kornikami. A ponieważ figura umieszczona jest wysoko w ołtarzu głównym wykonano mniejszą, ustawioną na balustradzie przed ołtarzem tak by przybywający tu pielgrzymi mogli ucałować ją oraz by odprawiać msze przed kościołem. W ołtarzu umieszczono płaskorzeźbę przedstawiającą scenę poszukiwania cudownej figurki przez wspomnianego górnika.

Obecną świątynię wzniesiono w latach 1690-93 z inicjatywy Marii Polikseny hrabianki Des Fours, a kamień węgielny wmurowano 23 września 1690 roku w dniu imienin fundatorki. Opiekujący się od 1996 roku kościołem ksiądz Jan przypomniał nam na początek pewne zdarzenie jakie miało miejsce w Alpach. Otóż 19 września 1846 roku objawiła się tam Matka Boska ukazując się dwojgu dzieci, 15-letniej Melanii i 11-letniemu Maksyminowi. Wzywała ona wtedy do nawrócenia i pokuty. Przede wszystkim chciała by ponownie czcić dzień święty jakim jest niedziela. Ale także by nie używać słów wulgarnych wyrażając się o sprawach wiary czy świętych. Na miejscu objawienia wytrysło źródło, a później wierni ustawili tu stacje drogi krzyżowej oraz figurę Matki Bożej. Matka Boża, którą wtedy zobaczyły dzieci miała na szyi zawieszony krzyż z Jezusem Chrystusem oraz narzędziami męki: młotkiem i obcęgi. Dlatego wieża kościoła w Bozkovie ma umieszczone te narzędzia na szczycie. Jest to związane z faktem, iż kościołem zajmują się księża Saletyni. To właśnie oni, po objawieniu, założyli Zgromadzenie Misjonarzy Matki Bożej z La Salette.

Ksiądz Jan oprowadził nas po kościele zwracając przy tym uwagę na sam ołtarz z cudowną figurą i rzeźbami świętych (m. in. św. Józefa i św. Annę) oraz beczkowy strop bogato zdobiony

kolorowymi malowidłami przedstawiającymi sceny z inwokacji Litanii luterańskiej. Oryginalny strop kasetonowy zachował się jedynie w Oratorium. W prezbiterium umieszczono scenę przedstawiającą nawiedzenie Panny Marii. W ołtarzu pod figurką Marii widać herb rodziny fundatorki. Niestety został on uszkodzony i obecnie orzeł nie jedzie już w karecie, której części, po rozmontowaniu, umieszczono obok.



Opiekun kościoła - ksiądz Jan



Scena przedstawiająca poszukiwania figurki



Od lewej: Kopia cudownej figury, szata liturgiczna z cudowną figurą i Madonna z dzwonu kościelnego

Ksiądz Jan zaprosił nas do zwiedzenia muzeum, w którym zgromadzono wiele szat liturgicznych. W tym tą z wizerunkiem cudownej figurki. Są tam też pierwsze szaty używane do roku 1939, zdjęte podczas renowacji i korona. Ale także różne precjoza kościelne czy dokumenty związane z kościołem i parafianami. Ciekawym jest kancjonał czyli stary śpiewnik bozkovski. Po wejściu na wieżę (115 schodów do góry i 1 w dół) mogliśmy podziwiać piękną panoramę. Nawet nie spodziewaliśmy się, że będzie ona tak rozległa. Wieża kościelna to oczywiście miejsce zawieszenia dzwonów. Były one, tak jak w większości kościołów, rekwirowane i przetapiane. Jednak dwa z spośród trzech obecnie tu wiszących zachowały się od chwili ich zawieszenia. Pierwszy, najmniejszy, zwany „umieraczkiem”, poświęcony św. Wacławowi, zawieszono w roku 1848. Służy on do oznajmiania śmierci parafianina. Natomiast trzeci w kolejności, jednak pierwszy w ogóle, wykonany został w roku 1555 przez mistrza Wacława Konwarza z Hradca Kralovego. Na dzwonie tym umieszczono płaskorzeźbę Madonny, co uważane jest za wiarę „pod dwiema postaciami”. Chodzi o wiarę w Marię w czasie gdy została ona wszędzie indziej odrzucona przez protestantów. Wszak to oni wtedy tu rządzą. Chcąc sfotografować Madonnę poprosiłem księdza o zgodę na przejście na drugą stronę wieży. Ten tylko spojrzął na mnie i czyniąc w moim kierunku znak krzyża powiedział: Proszę tylko uważać. Przeszedłem zatem po belkach stropowych i wspiąłem się na wysokość około trzech metrów na słup, na którym zawieszono dzwon. Tam trzymając się jedną ręką słupa drugą próbowałem zrobić zdjęcie. Ponieważ płaskorzeźba znajduje się blisko zamocowania dzwonu miałem problem ze zrobieniu dobrego ujęcia. Dopiero po wykonaniu kilkunastu zdjęć udało mi się uchwycić madonnę w

pełnym ujęciu. Dobrze, że moich wyczynów nie widział nikt z grupy bo jeszcze mógłby zechcieć mnie naśladować. A nie było to zbyt bezpieczne.

Wychodząc z kościoła dostrzegliśmy wygrawerowane na szybach w drzwiach postaci. Okazało się, że są to wizerunki służących tu ministrantów. Teraz ruszyliśmy w stronę cudownego źródła czyli studánki „U Matičky”. Wybudowano tu niewielką kaplicę. Wypływająca stąd woda ma właściwości uzdrawiania, co już wielokrotnie zostało udowodnione. Jest to bowiem „woda życia”. Aby nie było problemu ze skosztowaniem pozostawiono tu kilka kubków. Wszyscy chętnie skorzystali z tego i napili się smacznej wody. Niektórzy zachęteni jej smakiem zajrzeli do pobliskiej gospody mając nadzieję, że podawane tam piwo będzie równie smaczne.



Wieża "U borovice"

Po powrocie do autobusu wyruszyliśmy w stronę wieży widokowej „U borovice” czyli „Pod sosną”. Znajduje się ona w pobliżu miasteczka Vysoké nad Jizerou. Zanim jednak tam dotarliśmy przeżyliśmy spore emocje. Jechaliśmy, jak już wspomniałem, wąską i bardzo krętą drogą. Nagle kierowca ostro zahamował. Okazało się, że z góry pędził drugi autobus. Niestety oba nie miały żadnej szansy minąć się. Dlatego wykorzystano fakt, że byliśmy na zakręcie i po kilkakrotnych manewrach cofania i podjeżdżania do przodu udało nam się w końcu ruszyć dalej. Kierowcy spisali się na medal. Zaraz ujrzelśmy wieżę, do której podążaliśmy. Zbudował ją w 2009 roku prywatny przedsiębiorca František Hubař.

Murowana część wieży ma wysokość 13 metrów, a na górze zamontowano jeszcze część drewnianą z tarasem widokowym, z którego roztacza się widok na zarówno Góry Izerskie jak i Karkonosze. Widać także Góry Orlickie i wzniesienia Czeskiego Raju. W sumie całkowita wysokość wieży to 18 metrów. Na górę prowadzi 70 drewnianych schodów. Gdy jednak dotrzemy tam możemy usiąść na

przygotowanych krzeselkach i odpocząć przed zejściem na dół. Obok wieży postawiono niewielki budynek, w którym znajduje się kasa, wc oraz prowadzona jest sprzedaż pamiątek. Sam wstęp kosztuje tylko 20 koron.

Pozostawiając bardzo miły wpis w księdze pamiątkowej ruszyliśmy do ostatniego naszego dzisiejszego celu czyli na Górę Javornik. Oczywiście skorzystaliśmy z jeżdżącej tu kanapy. Nie wkładając zatem żadnego wysiłku w dotarcie na górę rozkoszowaliśmy się pięknym widokiem. Dostrzegliśmy wieżę na szczycie Ještěd, którą zwiedzaliśmy dosłownie tydzień temu. Po krótkim podejściu widzimy wielką beczkę, w której znajduje się restauracja. Mamy nadzieję na pyszny obiad. Składamy zamówienie. Namówieni zamawiamy typowe czeskie jedzenie. Wołowinę ze śmietaną i knedliki. Po dłuższej chwili kelnerka przynosi posiłek. Patrzymy na talerz a tam jak w znanym powiedzeniu: Jak pan znalazł kotlet – pyta kelner. Pod ziemniaczkiem – odpowiada klient. Tak samo było tutaj. Z tą tylko różnicą, że mięsko było ukryte pod kleksem śmietany. Jednak, jak się okazało, nie wielkość jest najważniejsza. Wszystko było pyszne. Do tego ciemne piwko i człowiek był zadowolony.

Niestety sam budynek w kształcie beczki, z zewnątrz prezentuje się całkiem nieźle, jednak w środku poprzedzielany betonowymi stropami nie wprawia w zachwyt. To już nie ta pierwsza, prawdziwa beczka, zakupiona podczas Wystawy Jubileuszowej w Wiedniu w 1898 roku. Tamta spłonęła w 1974 roku i odbudowano ją już tylko jako obiekt udający pierwowzór. Jest ona bowiem wykonana z żelbetu obłożonego drewnem.



Restauracja na Javorniku

Zjeżdżając kanapą na dół mamy chęć przejechać się jeszcze torem saneczkowym mającym tu aż 1100 metrów długości. Niestety mimo, iż nie ma już kolejki, musimy wracać do domu, ponieważ część z uczestników wycieczki o godzinie 20.00 ma ostatni autobus do Zgorzelca. W bardzo dobrych humorach jedziemy w stronę Jakuszyca obserwując jak zachodzące słońce odbija się czerwonym blaskiem w oknach domów. Powoli w autobusie zaczyna robić się coraz gwarniej. Wkrótce słychać pierwsze nieśmiałe próby śpiewu. I tak atmosfera jest coraz weselsza. Gdy docieramy do Cieplic staje

się jasne, że mający jeszcze jechać dalej nie zdążą na połączenie. Ale od czego mamy wspaniałego kierowcę. Ten widząc co się dzieje zadzwonił do dyspozytora i załatwił by autobus czekał kilka minut. Dzięki temu turyści ze Zgorzelca nie musieli martwić się jak wrócić do domu a my, miejscowi, i tak zostaliśmy podrzućeni w umówione miejsce.

Wydawca:

Komisja Krajoznawcza Oddział „Sudety Zachodnie”

Jelenia Góra – wrzesień 2012

Tekst i foto: Krzysztof Tęcza